



Rozdział III

Nowe podniety

Tadeusz spał jak zajac pod miedzą. Specjalnie nie przykrył się szczelnie kołdrą, licząc na to, że jak zmarznie, to sam się przebudzi.

I owszem, przebudzał się tej nocy nie raz, lecz chyba z dziesięć razy – niestety szybki rzut oka na okno wystarczał, by wiedzieć, że jeszcze nie nadszedł ranek.

W końcu jego wysiłki zostały nagrodzone. Za jedynastym razem zobaczył, że dnieje. „Widzę, że nie tylko ja jestem rannym ptaszkiem!” – podzwaniało mu w głowie jak srebrny dzwoneczek. Jak najciszej wysunął się z łóżka, wymknął z sypialni, następnie zajrzał do łazienki, by się leciutko odświeżyć, nałożył bonzurkę i...

...i do łazienki przyszła Wisia.

– Czemu wstałeś tak wcześnie?

Dobre pytanie. Niestety nie miał gotowej sensownej odpowiedzi.

Odchrząknął, żeby zyskać na czasie.

– Znowu cię obudziły ptaki i czeremcha?

Popatrzył na nią z wdzięcznością.

– Taak. Tak właśnie. – Zrobił zbolałą minę. – W dodatku drapie mnie w gardle. Chyba się rozkopałem z kołdry, no i masz.

– I przyszedłeś do łazienki przepłukać gardło wodą utlenioną? – Domyśliła się Wisia.

– No... tak! – potwierdził gorliwie.

– Bardzo dobrze – pochwaliła. Podeszła do szafki z lustrem, otworzyła ją i wyjęła butelkę z żółtą etykietą. – Natrzemy ci jeszcze szyję spirytusem kamforowym. – Nie czekając na reakcję dziwnie znieruchomiałego Tadeusza, zaczęła nacieranie. – Teraz owiniemy... – Z szuflady pod umywalką wydobyła starą pieluszkę tetrową, idealną na takie okazje. Jak zapowiedziała, owinęła mężowską szyję tetrą i nakazała: – A teraz wracaj do łóżka się wygrzać. Za parę godzin wstaniesz zdrów jak rydz!

– Ojciec zrobił się nieznośny – poskarżyła się córce Wisia. Siedziała w kuchni Małgosi w szlafroku narzuconym na koszulę nocną i stukwała nerwowo długimi, wypięlęgowanymi paznokciami w blat stołu. Nie malowała ich, słusznie uznając, że są tak ładne same w sobie, że nie potrzeba ich powlekać warstwą emalii. Małgosia zresztą robiła podobnie. – Nie wiem, czy to jest starcza demencja, czy mu jakieś podzespoły fiksują... Może mu brak jakiegoś pierwiastka? – ciągnęła.

Małgosia rzuciła okiem na zegarek. Nie chciała przerywać wynurzeń mamy, ale za dziesięć, góra piętnaście minut miała wyjść do pracy. Upiła łyk swojej porannej wody z cytryną.

– Dlaczego tak myślisz?

– Dziwnie się zachowuje. Nocą rzuca się jak ryba w sieci, w dzień ciągle robi mi przytyki...

– I to wszystko?

Paznokcie Wisi wygrywały na blacie jakiś rytm.

– Czuję, że coś jest z nim nie tak.

Małgosia popatrzyła na matkę w zamyśleniu.

– Przecucia to ważna rzecz. Ty jesteś z nim najbliżej z nas wszystkich. Może mu umów wizytę u kardiologa? Albo u tego młodego Mireckiego? Zdaje się, że ojciec mu ufa. Zbadać się zawsze warto.

– A może ty byś go poobserwowała? Albo podpytała delikatnie, czemu się zrobił taki kąśliwy? To była zawsze moja działka – wyznała z rozbijającą szczerością.

Małgosia zmarszczyła brwi. Mama nigdy dotąd nie prosiła jej o ingerencję w swoje sprawy z tatą.

– Może postanowił wziąć rewanż? – zażartowała i dopiła resztę cytrynowej wody. – Pomyślę, mamó, obiecuję. Ale teraz muszę cię przeprosić, bo już ósma.

– No tak, tak... – rzekła Wisia mechanicznie, nie poruszywszy się za stołem.

– Chcesz sobie u nas posiedzieć?

Wisia jakby się ocknęła.

– Nie, skąd. Pójdę zobaczyć, czy już wstał. Znów spał niespokojnie, a rano źle się czuł.

– O. Co mu dolegało?

– Gardło.

– Daj mu soku z czarnego bzu, masz?

– Mam, i z kwiatów, i z owoców – potwierdziła Wisia. – Dobrze, że mi przypomniałaś, córciu, o tym bzie. Trzeba by nazrywać nowych kwiatów, już chyba kwitną?

– Nie zwróciłam uwagi.

– Pójdę dziś się przejść po okolicy. Jak będą, to zbieram – snuła plany Wisia.

– To fajnie, mamo.

Oszczędna forma jej odpowiedzi przypomniwała Wisi, że czas ją nagli. Podniosła się z krzesła.

– No dobrze, córuś, to lecę. Do zobaczenia po południu. Zajrzyj do nas.

– Zajrzę – obiecała Małgosia.

Gdy Wisia wróciła, sypialnia była pusta. Tadeusza nie było także ani w łazience, ani w kuchni, ani w salonie.

Wisia poczuła w sercu niemiłe ułknięcie niepokoju. Czy do ich stabilnego życia właśnie się wkrada starość w niedobrej odsłonie? Z otumanionym staruszkim, wędrującym po mieście, niepamiętającym nawet, dokąd idzie i po co?

Och, Boże.

– Dzień dobry, pani Teodozjo.

Tadeusz stał w drzwiach domu sąsiadki, trzymając w rękach nieco niesforny bukiet tulipanów. Przez cały poprzedni dzień umyślnie kręcił się po ogrodzie, usiłując wypatrzyć, czy jest ona w domu, na balkonie, a może dokądś wychodzi – niestety dom, nie licząc uchylonego okna na piętrze, nadal wyglądał na opuszczony, jak przez ostatnie lata. Dlatego Tadeusz musiał, po prostu musiał, tu dziś przyjść i sprawdzić, co i jak.

– Ooo, *bonjour, monsieur* Tadeo! – powitała go promiennie. – Polubił pan moją kawę?

Kawa! Że też wcześniej o tym nie pomyślał! To pewnie przez nią miał wczoraj te męczące palpacje i zawroty głowy.

Ale... był to dziwnie przyjemny stan.

– Taak – odparł więc, rozciągając sylabę, jakby się smacznie przeciągał. – Chętnie wypiję z panią kawę. A tu: kwiaty. – Uniósł wyżej pęk tulipanów.

– Dla mnie? – zdziwiła się naiwnie i uroczo, jak podlotek. – Są wprost prześliczne! *C'est très gentil. Merci beaucoup*⁶. Zapraszam.

Tym razem nie miała na sobie ani szlafroka, ani turbanu z ręcznika. Była ubrana w luźną, zwiewną sukienkę

⁶ Fr. – To bardzo miłe! Bardzo dziękuję!

do kolan, malowaną w ogromne kwiaty, a jej włosy – które wreszcie widział – były długie i rozpuszczone, o nadzwyczajnym ognistym odcieniu. Wisia też miała długie, ale nigdy nie pozwoliłaby sobie na noszenie ich rozpuszczonych luźno – uważała, że to nie licuje z wiekiem, i upinała z nich kunsztowne i owszem, zgrabne koki. No i farbowała je na czarno, nie na rudo!

– Co słyhać? – spytał kurtuazyjnie. – Wczoraj nie widziałem pani przez resztę dnia. Pewnie się pani rozpakowywała w nowym miejscu zamieszkania? Albo porządki? – snuł domysły.

– Ach, skądże! – Machnęła ręką. – Sprzątanie dla mnie to jak gotowanie w domu dla zawodowego kucharza. Moja praca we Francji latami polegała na szykowaniu hotelowych pokoi na przyjazd gości. W pracy byłam sumienna, ale prywatnie nie lubię sprzątać. Szkoda życia na takie nudy. Oglądałam filmy.

Faktycznie, jeśli się lepiej przyjrzeć, wewnątrz w dalszym ciągu było dość zapuszczone.

– Cały dzień? – zdumiał się Tadeusz.

– Całą noc – sprostowała. – W dzień odsypiałam.

Cóż za ekstrawagancja! Coś tu się jednak Tadeuszowi nie zgadzało.

– Zaraz, zaraz... – zastanowił się na głos. – Przecież mówiła pani, że jest rannym ptaszkiem. Więc jak to się ma do zarywania nocy na filmy?

Roześmiała się, odchylając głowę do tyłu.

– Siła nawyku, drogi Tadeo. We Francji pracowałam od wczesnych godzin rannych. Toteż i teraz, na em... – znów się zająknęła na tym słowie, jak wtedy gdy się poznali. – Hem, hem – odchrząknęła, by pokryć zmieszanie. – Teraz, gdy wróciłam do Polski, nawyki zostały. Siedzę do późna, potem kładę się spać, o piątej się budzę, kąpię, odświeżam, piję kawę, wychodzę po sprawunki, a po południu dosypiam brakującą część snu.

Tadeusz był rozczulony. Domyślał się już, co się kryje za owym „przejściem na em...”, lecz fakt, że ona stara się przed nim (przed nim!!!) wypaść na młodszą, niż jest, niezwykle mu pochlebiał. Czuł się jak Mały Książę wobec kapryśnej i dumnej Róży, która też odgrywała z przejściem swoją rolę. Do Tadeusza dotarło dawno nieprzeżywane poczucie męskości. Oto warto się dla niego, Tadeusza, starać! Udawać lepszą czy też młodszą niż w rzeczywistości. Prowadzić rozmowę na granicy flirtu!

Jakież to było ekscytujące!!!

Dobrze, że przyniósł Teodozji te kwiaty. Należały jej się. Za kobiecość, która docenia jego męskość.

Tymczasem Wisia przeprowadzała domowe śledztwo. Z zebranych dotąd śladów wynikało, że Tadeusz wyszedł

z domu bez śniadania, bez herbaty i bez skarpet – za to ogolony i wypachniony wodą kolońską. Byłe jak pościelone łóżko wskazywało też na pośpiech. Kiedy ona poszła na kwadrans do Małgosi, on musiał wstać, szybko się umyć i ubrać w to, co akurat leżało na skrzyni w sypialni.

Gdzie się tak spieszył?

Wisia, pochłonięta śledztwem, wyszła do ogrodu. Może Tadeusz po prostu zażywa porannej kąpeli słonecznej na leżaku?

A to co!?

Jej piękna grządka czerwonych i żółtych tulipanów wydawała się przeredzona. Podeszła bliżej. Co za lichy!?! Mniej więcej co piąty kwiat został ścięty i zabrany Bóg wie dokąd. „Może ktoś naciął do wazonu?” – zastanowiła się. – Tylko kto? Małgosia już pobiegła do pracy, nikt z rodziny Krzysia chyba się nie fatygował tu, pod ich dom, po tulipany. Może Alicja albo Kasia? Piotrek głównie dbał o ich ogród i jeśli coś przycinał lub wycinał, to była to trawa, tuje albo suche gałęzie. Kwietniki pozostawiał we władaniu swej nieformalnej teściowej, Wisi.

Wisia wypatrzyła wśród kwiatów kępkę rdestu. Pochyliła się nad grządka, żeby ją wyrwać czym prędzej. Nie lubiła chwastów. Zaburzały porządek na kwietniku. Syknęła, bo coś nieprzyjemnie zakłuło ją w krzyżu. Nic takiego, pewnie zwykły nerwoból, to się czasem zdarzało i nie zamierzała zwracać na to większej uwagi. Musi

tylko powolutku się podnieść, żeby ból się nie powtórzył. Chwycała chwast, pociągnęła, żeby go wyrwać z korzeniem, i odrzuciła na bok, tuż za obramowanie grządki. A teraz powrót do pionu...

– Do widzenia – pożegnał się Tadeusz. – Dziękuję ci za kawę – dodał poufale, bo właśnie dopiero co przeszli na „ty”.

– Dziękuję za odwiedzinę – zrewanżowała się Teodozja, po czym przeniosła wzrok z sąsiada na jego działkę. – O, ktoś tam u ciebie stoi w ogrodzie, przygarbiony, ubrany na czarno – zauważyła. – To twoja matka? Mieszkasz z rodzicami?

– Gdzieś ty się podziewał? – Wisia przywitała go głosem pełnym skargi.

Tadeusz wyduł usta w grymasie człowieka niesłusznie obwinianego.

– Wstałem, nie było cię, więc się ubrałem i wyszedłem – wyliczył, wzruszając ramionami.

– Tyle wiem. Pytam, gdzie byłeś.

– A co to za wypytywanki? – zirytował się. – Przejść się. Dla zdrowia.

Wisia pokręciła głową.

– To nie w twoim stylu – orzekła.

– Od kiedy to ty jesteś tak dobrze zorientowana w moim stylu? – zadrwił.

Przyjrzała mu się bacznie.

– Od... zawsze?

– A kiedy ostatnio robiłaś aktualizację danych, hę? Nawet telefony to robią, sprzęty! A ty mylnie zakładasz, że ja jestem niezmienny od pięćdziesięciu lat. A niby dlaczego? Na jakiej podstawie?

Wisia wybałuszyła oczy.

– Bo byłeś niezmienny od pięćdziesięciu lat – stwierdziła. – Do wczoraj.

– Czyli o wiele za długo – oszacował. – Człowiek musi być w ruchu, w zmianie, w kreacji, inaczej źle z nim!

– Mnie to mówisz?! – zaperzyła się Wisia. – Toż przecież nie ustaję w zachętach, żeby cię zmieniać! – wytknęła, z pasją klepiąc dłońmi o uda. – Wyszukuję rozrywki, bilety, wyjścia, proponuję różne zajęcia... Ale gdzie tam, twój świat się skurczył jak stary orzech włoski do zaledwie paru podniet! Szachy, sherry, gazeta – wyliczyła z wyrzutem.

Tadeusz rozłożył szeroko ręce w geście niezrozumienia.

– Po pierwsze, ty mnie próbujesz zmieniać na swoją modłę. A może ja chcę na swoją? – Wypuścił w eter zupełnie zdumiewającą ideę. – A po drugie, o co ci

chodzi, kobieto? Chciałaś, żebym się zmieniał i szukał nowych podniet, to się zmieniam i szukam! Zawsze źle. Jak nie kijem go, to pałką! – zawołał z emfazą, wyminął ją i skierował się do domu.

A Wisia jeszcze przez chwilę stała w ogrodzie w pozie słupa soli.

Dobrze zrozumiała? Więc wyszedł z domu poszukać nowych podniet...?

Pensjonat Róża wiatrów robił bardzo dobre wrażenie. A odkąd Ilona pokazała rodzicom, jak wyszukiwać tanie okazje w sieci, Halina i – zwłaszcza – Romek stali się mistrzami w polowaniu na korzystne cenowo wyjazdy. Właściwie to i ich poprzedni, kwietniowy, i obecny były podyktowane przez to, co się akurat trafiło do wynajęcia. Romek przekonał żonę, że w kwestiach podróźniczych mają tyle zaległości, a zarazem tyle apetytu, że dokądkolwiek by się wybrali, może być fajnie. W końcu do wszystkich tych miejsc jadą w najlepszym możliwym towarzystwie – i to właśnie powoduje, że są szczęśliwi – a czy za oknem hotelu są góry, jeziora, morze czy las to sprawa drugorzędna.

W Róży wiatrów pokój dostali niewielki, lecz urządzone bardzo funkcjonalnie. Łóżko było wygodne, łazienka czysta, oświetlenie jasne. Halina najbardziej

cieszył fakt, że w pomieszczeniu znalazło się także biurko. Dzięki niemu mogła, nie czekając na powrót do domu, oddawać się swojemu nowemu hobby – którym było prowadzenie dziennika wypraw.

Na pomysł, żeby go zacząć pisać, wpadła już w styczniu, na pierwszym wspólnym z mężem wyjeździe od lat – do sanatorium w Dusznikach-Zdroju. Z pobytu tam cieszyła się tak bardzo, że za wszelką cenę pragnęła zachować te wspomnienia na dłużej, jak porządnie zawekowany słoik. A gdy po zwiedzaniu dusznickiego Muzeum Papiernictwa, poszli z Romkiem do muzealnego sklepiku kupić parę pamiątek, tam, pośród ryz papieru czerpanego, papierów z wtopionymi kwiatami, nasionami, plamkami barw i odcisniętą fakturą sita oraz wszelkimi innymi rękodzielami sztuki papierniczej, Halina doznała olśnienia. Kupiła wiele arkusików owego przepięknego papieru, mały segregator do wpinania kartek, a także taśmę klejącą i pióro – bo niby czemu nie?

No i się zaczęło. Od tamtej pory każdy bilet wstępu, widokówkę, zdjęcie, wyjątkowo uroczy liść czy ziółko wklejała do swego dziennika, opatrując je, rzecz jasna, także treścią. Wspomnieniami, gdzie byli, co robili, jak im się podobało, co było tam wyjątkowego, nawet co jedli i pili, jeśli wpisy dotyczył bycia w restauracji.

Romek był zachwycony. Latami pasjonował się czytaniem relacji podróżniczych z odległych zakątków

świata – a tu nagle jego kochana żona notowała podobne relacje z ich wypraw. Pomagał, jak mógł. Szkicował mapki z zaznaczonymi trasami, któredy szli, oraz plany sytuacyjne, żeby urozmaicić i dopełnić jej wpisy. A nade wszystko nie przeszkadzał. Kiedy prowadziła wieczorami dziennik, nie włączał telewizora (który w Róży wiatrów wisiał tuż nad jej głową, nad biurkiem), a zadowalał się w tym czasie czytaniem lub drzemką.

Dziennik zresztą szybko ewoluował. Najpierw nie miał wcale tytułu, potem, za radą Romka, Halina nazwała go roboczo *Dziennikiem wypraw* – co dawało cudowną nadzieję, że będzie ich więcej niż ta jedna, do Dusznik. Później, jako że przybywało w nim zasuszonych okazów miejscowej flory, przez jakiś czas wahała się, czy to nie powinien być zielnik. Koniec końców tytuł właściwy pojawił się jak to u nich zwykle – podczas rozmowy. Była to jedna z tych wzruszających, radosnych rozmów o tym, jak dobrze im się teraz żyje. Jak nareszcie robią w życiu to, czego naprawdę sami chcą – nie dla kogoś, a dla siebie samych. To dawało niewyobrażalnie dużo dobrej energii. Aż Romek, jak to on, trafnie podsumował tę rozmowę:

– Po prostu wreszcie przyszły dla nas lepsze czasy!

To było to, Halina poczuła to od razu. Jeszcze tego samego wieczoru siadła do swojego pamiętnika, wyjęła jeden z najładniejszych arkuszy czerpanego papieru

z dusznickiego muzeum, zrobiła w nim dziurkaczem otwory, żeby kartkę dało się dołączyć do reszty segregatora – i starannie wykaligrafowała na niej tytuł:

Lepsze czasy.

– Halo, Inga?

– Cześć, Loniu, jak miło, że dzwonisz. Gdzie teraz jesteście, bo się pogubiłam?

– Wciąż w Genui. Mieliśmy być w Polsce, ale zapisaliśmy się tu na fajne zajęcia malarskie, no i tak jakoś szkoda stracić coś, co się lubi.

– Hej, czuję, że to wymówka. W Polsce chodziłaś na ceramikę, która też ci się bardzo podobała – zauważyła Inga.

Któż mógł znać Lonię lepiej niż rodzona siostra?
Lonia zachichotała.

– Może i masz rację. Cóż, nie zastanawiamy się nad tym. Płyniemy. A jak tam Maria Elena?

– Jeśli pytasz, czy urodziła, to oczywiście jeszcze nie. Wiesz, że bylibyście pierwszymi zawiadomionymi osobami. Czyli mieszkanie we Włoszech ci się spodobało?

– Hm... Jak każda podróż i każda odmiana to jest ciekawe poznawczo. Ciągle czuję się tu jak na wakacjach. Rozumiesz: barwne miasto, morze, cała ta śródziemnomorska odmienność...

– To chyba dobrze?

Lonia się roześmiała.

– Dobrze, pod warunkiem że nie musisz nic robić. Wahałam się, czy zabrać z Polski maszynę do szycia. W końcu nie wzięłam – i dobrze, bo chyba bym się wcale nie zmobilizowała do pracy. Południowy styl życia jest rozleniwiający.

Teraz dla odmiany zaśmiała się Inga.

– O, znam to. Na początku długo musiałam się wdrażać, żeby robić tu coś konstruktywnego.

– No właśnie. Dobrze, że już jestem na emeryturze. To daje wolność.

Choć Lonia nie mogła tego zobaczyć, Inga pokręciła przecząco głową.

– Nie, kochana. Wolność to ty masz w sobie, odkąd pamiętam. Emerytura to tylko mała poduszka finansowa, której możesz użyć, jak chcesz i gdzie chcesz, ale pod warunkiem, że masz w sobie tę wolność.

– Uuu, górnolotnie się zrobiło.

– Czy ja wiem? Taka prawda.

– Dotycząca nas obu – zauważyła Lonia. – Ty też swego czasu dokonałaś paru śmiałych wyborów, które zmieniły twoje życie.

– Warto było.

– No pewnie. Dzięki twoim decyzjom za parę tygodni albo dni zostanę cioteczną babcią!

– Juhu! – zawołała Inga na cześć ich wspólnej przyszłej radości.

– Pamiętaj, żeby do mnie zadzwonić natychmiast, kiedy tylko...

– Pamiętam, pamiętam.

– Nawet w środku nocy.

– Nawet w środku nocy – potwierdziła Inga. – Przecież wiem, że w sprawie wnuczki siedzicie oboje jak na szpilkach!

Majowe słońce było idealne do tego, żeby jeść późny obiad na tarasie Wojciechowskich. Piotrek miał w planach zainstalowanie na nim porządnej markizy do ochrony przed letnimi upałami – lecz na razie nie było upałów, a jedynie wesołe majowe światło. W skrzynkach, które zbił modnym sposobem z palet i ustawił wzdłuż balustrady, Małgosia posadziła zioła i bratki, tak że przebywanie pośród tych wszystkich kolorów i woni było jeszcze przyjemniejsze niż dotychczas.

Siedzieli więc wszyscy razem: Kasia z Borysem i Alicją, Małgosia z Piotrem i Wisia. Piotr, prosto po pracy, jadł odgrzewany obiad. Brakowało tylko Tadeusza. Już ze dwie godziny wcześniej oznajmił, że „nie jest głodny” oraz że „nie ma sensu paść brzucha”, i wyszedł dokądś, nie opowiadając się nikomu.

Młodzież, pod okiem Małgosi, szykowała oranżadę z kwiatów czarnego bzu. Wisia odpoczywała. Niedawno wróciła z łowów, na które wybrała się w pewne znane nielicznym miejsce, z dala od spalin, żeby zdobyć baldachy bzu w pełnym rozkwicie – należało je rwać właśnie tak, w słońcu, najlepiej w południe. Zadanie dziewczynek polegało na cierpliwym wytrząsaniu z kwiatków ewentualnych robaków na białe ściereczki i odcięciu łodyżek, tak by do olbrzymiego garnka, największego w całej Wisiowej kuchni, trafiły wyłącznie drobne białe kwiatki. Bzowa oranżada już od ładnych kilku lat była wiosennym przysmakiem wszystkich Wojciechowskich.

Miły relaks zakłócił nagły cichy okrzyk Małgosi.

– O Boże! Czy to tata?!

Oczy zebranych skierowały się w stronę, w którą patrzyła. A tam, środkiem chodnika, szedł sobie godnym krokiem Tadeusz z poczernionymi włosami.

Kasia i Borys nerwowo zachichotali.

– Chryste przenajświętszy... – bąknęła Wisia. I dodała grobowym tonem: – Mówiłam. Mówiłam, że coś się z nim dzieje.

Tadeusz, już na wysokości ich płotu, zwrócił do nich twarz i pomachał wesoło.

Odmachali ze skonsternowanymi minami.

Jeszcze chwila i przeszedł przez furtkę, nie wiadomo po co zatrzymał wzrok na posesji pod czwórką, po

czym wszedł do własnego domu. Moment później był na tarasie.

– Ale gorąc! – Otarł czoło chustką. – Macie już tę oranżadę?

– Dopiero robimy – wyjaśniła Alicja.

– Przynies mi, dziecko, wody – poprosił wnuczkę.

Alicja poszła do babcinej kuchni. Gdy wróciła, dziadek wziął od niej szklanekę i wypił zawartość duszkiem, po czym powiódł wzrokiem po rodzinie.

– He, he! – zaśmiał się. – Jesteście jak w tej bajce o królu, któremu nikt nie ma śmiałości powiedzieć, że jest nagi!

– Dzięki Bogu, ty przynajmniej masz ubranie – mruknęła Wisia.

Tadeusz przejechał dłonią po swych rzadkich, teraz ciemnych włosach.

– Jak wam się podobam?

– Trochę nienaturalnie. – Małgosia zdobyła się w końcu na odwagę.

– Nienaturalnie? – zdziwił się Tadeusz. – Cóż, postęp zawsze konsternuje tych, którzy za nim nie nadążają.

– Chodzi o to, tato, że widać, że są farbowane – broniła swego zdania córka.

– No i co z tego? Równouprawnienie działa w obie strony. Kobiety chcą praw dla siebie, a ja chcę mieć prawo do poprawiania sobie urody! – oznajmił.

– I co kolejnego w związku z tym planujesz zrobić? – odezwała się ponuro Wisia.

– Jeszcze nie wiem – odparł lekko Tadeusz. – Lecz możliwe, że się wezmę za brzusek. Niepotrzebnie dodaje mi lat. I nie dziwuj się, proszę, moja droga – zwrócił się wyzywająco do żony – bo sama mi powtarzałaś, że tak by było zdrowiej, więc powinnaś się cieszyć, że biorę sobie twoje rady do serca.

Wisia pokręciła głową w nagłym zasmuceniu.

– Ja się tylko boję, co ty jeszcze sobie wzięłaś do tego starego, głupiego serca...